

Zrobmy to zaraz.

Mam pod ręką dwie małe i stare książeczki: jedna z nich, wydane w roku zeszłym, napisana przez Rollandę, nosi tytuł „O szkolnictwie handlowym w Galicji“, — druga już nowsza, bo tegoroczna, wyszła z pod pióra autora „Poznania i kształcenia charakteru“ pod nazwiskiem: „Budujmy Polskę we wnętrzu“. Ote niby obce sobie, a dopełniają się, druga w pierwszej służy poparciem. Oto np. co czytamy w drugiej: „Polak, odzyskawszy jak upragnioną niepodległość, spostrzega z przerażeniem, że zagrożony ma być ekonomicznie w własnym kraju. W czasie bowiem gdy on tak krwawo walczył o niepodległość, wytężając w tym kierunku wszystkie swe zdolności i siły, w odczytanie jego organizował się zwolna i coraz bardziej porastał w pierze cudzoziemiec różniący się od niego rasą, wiarą i językiem, opanował handel i przemysł, załagał miastami, a w końcu stworzył jakby państwo w państwie.“

Dajmy na to, że były jeszcze inne przyczyny, które sprzyjały Żydom u nas w opanowaniu handlu. Nie chodzi nam jednak o wyszczególnienie przyczyn tego zjawiska, ale o skutki jego dla nas poprostu gubne. Bo naród bez własnego handlu i przemysłu nie może mieć bytności go.

Jeżeli chcemy podnieść własny przemysł, — musimy przede wszystkim posłać własny handel. Ale w jaki sposób da się posłać handel? Handel, to praca zawodowa, której trzeba się nauczyć. Zbyt słabo dotychczas rozumiemy handel.

Najczęściej dość niechętnym okiem poglądamy na kupców, bo w każdym pocichu podejrzewamy wyzyskiwacza, spekulanta. I handel sam nie wydaje się nam zajęciem trudnym. „Wielka rzecz, powiadamy, sprzedawać! Mieć trochę grosza, wynająć sklep, ustawić półki, sprowadzić trochę towarów, powiesić szyld i już handel gotowy! Trzeba tylko z początku być bardzo grzecznym dla gości. A później, gdy już handelek pójdzie pomyślnie, — można być niegrzecznym, nadasnąć i siedzieć za ladą jak król lub królowa, podając towary gościom w taki sposób, żeby zrozumieć, jak im się przez to wyświadcza łaskę! Taką drogą i taką metodą urosły u nas niektóre handele. Ale większość takich nędzny był widok. I nawet inaczej być nie może.

Powierzchownie badając, małe mamy, że Żydzi bardzo łatwo stają się kupcami. Ale proszę zwrócić uwagę na to, że Żydzi od małego ciągle uczą się handlu, bo każdy Żyd handlarz ma ojca, dziada, matkę, babkę, ciocię zatrudniającą się handlem. Stąd ustawicznie zbierają swe doświadczenie zbiorowo. A przytem jakże oni mają u siebie swoje własne liczne i potężne organizacje pomocnicze dla handlu: a więc mają kredyty, mają swoje giełdy, biura informacyjne, poczty swoje, agentów ciągle w ruchu będących. Widzimy, jak Żydzi ustawicznie są w podróży. Najwięcej u nas zwykle spotyka się w drodze Żydów. Oni są jak gdyby rzeką płynącą ciągle w różnych kierunkach. Ale ta rzeka płynąca przenosi z miejsca na miejsce nie tylko towary, ale i wiadomości, spostrzeżenia, pomoce, rady, ostrzeżenia. Tam kipi życie i robota kupiecka. Tam już jest doskonale zorganizowany handel żydowski.

Gdy w środowisko tej organizacji wejdzie młody Żydek, już wprędce obezna się z wieloma najważniejszymi tajemnicami i wiadomościami handlowymi. Tam dla niego szkoła doskonała, szkoła stara i przebogata w zapas niuk, wskazówek i przestroż, oraz pomocy!

A u nas? Pustynia! Dopiero musimy kłaść podwaliny pod handel polski. Wprawdzie i u nas niegdyś był handel polski. Coś — ale — coś pięknej tradycji po nim zostało we wspomnieniach historycznych. Ale to było ongi! Dziś na nowo trzeba zaczynać, ale zaczynać prawidłowo i według wskazówek najnowszych. I właśnie dlatego może być bardzo pożyteczną książką A. Rollandę, bo w niej znajduje się ważna wskazówka, że dziś narodzić się powinno swoja młodzież uczą handlu tylko w szkołach specjalnych, handlowych. I dość wniknąć w pracę takiej szkoły, a stanie się zupełnie zrozumiałym ogromny jej pożytek. Żaden najlepszy sklep nie da tyle wiedzy specjalnej i nie wyplecie głębiej w uczniu odpowiedniego charakteru, co zdoła uczynić tylko szkoła dobra.

Galicja ma już kilkanaście szkół handlowych, a Królestwo ani jednej. Wprawdzie dwie zaczęły istnieć: jedna w Opatowie, druga w Bychawie, ale — powtarzamy — dopiero zaczęły istnieć, jednak jeszcze są nieczynne, więc w tej chwili braci ich w rachubę niepodobna. I te wszelako, które są w Galicji, nie dają powodu do radości, bo zmało mają uczniów! Jeszcze stroniemy od handlu, jeszcze nie zdajemy sobie sprawy jak poprostu niezbędnym naszemu narodowi jest handel własny!

W r. 1914 w Austrii było osób płci męskiej, pobieraających wykształcenie handlowe

w szkołach niemieckich	16 153
„ „ „ czeskich	5 443
„ „ „ polskich	1 213.

We Lwowie istnieje akademja handlowa. W r. 1915/16 w czterech jej klasach było raptem 56 uczniów, a tymczasem dziesięć gimnazjów lwowskich w tym czasie było przepelnionych! Młodzież polska kocha naukę, chętnie ją nabywa, ale w najbliższym wieku jeszcze nie myśl o wyrażeniu o swej przyszłości, o sobie do wszystkiego, ułamek fachu. Z takiej młodzieży staje się naród niby do wszystkiego, a właściwie naprawdę do niczego. Musimy przeto jednocześnie zakładać szkoły handlowe i Towarzystwo popierania handlu polskiego, które przedewszystkiem rozpowszechniałoby przesłanie o potrzebie stworzenia handlu polskiego — i rozrzucałoby w młodzieży polskiej zamiłowanie do handlu. Zdaje się, że nasz piękny Lublin obecnie zajmie się tą sprawą serdecznie.

Ks. A. Kwiatkowski.

O Podlasie.

Duchowni potomkowie niezaszczytnej pamięci wladzyków chełmskich ostatecznie 40 lat nie poprzestali na uroszczeniach do ziem górno-biegu rzeki Bugu, gdzie przodkowie nasi osiedlali w czasach przed historycznych; uroszczenia te rosły z biegiem czasu. Historia jakby dla nich nie istniała i sądzą że obecność w tym kraju pewnego procentu Rusinów, a w czeszech ostatnich przywileja prawosławia, nadały im prawa historyczne do Podlasia.

Na szczęście dla nas podbój Podlasia przez oręż polski odbył się już w czasach historycznych; a podbój ten

„LE CAFARD“.

„Za mało znamem jest, lub też zbyt łatwo zapomina się, za co bijemy się, za co tocymy wojnę“.

Temi słowy — pisze paryski korespondent „Bari Tidande“ — generał Pellu, głównodowodzący we Francji, rozpoczyna rozkaz dzienny, opublikowany w „Bulletin des armées“. Kończy się 36 miesięcy wojny. Wokół nas lato, przyroda zaojduje się w pełni rozkwitu, a nocą słychać się zyczącej dźwięki i ciemniejsza. Istnieje wyraz, brzmiący „cafard“.

Jest to jeden z tych wyrazów, które stworzyła wojna. Powstał on w rowach strzeleckich razem z tylu innymi wyrażeniami i zwrotami, któreimi żargon żołnierski wzbogacił słownik francuski. Pod względem językowym „cafard“ stanowi wyraz, uznany za tak samo prawdziwie francuski, jak nieśmiertelne „poilu“. A jednak trudno jest jeżeli nie niemożliwe, przetłumaczyć go. Oznacza on całe pojęcie, które należy objaśnić. Podróżnicy podległemu są zapewne języczni, co obok żołnierzy w wojnie światowej odczuć potrafią, że ukry-

wa się w pojęciu „le cafard“. „Poilu“ cierpi na „cafard“, gdy nie nadaje list od jego ukochanej. „Cafard“ chwyla go podczas zabijając elugich walczyków jesiennych i zimowych, gdy sieni w swej jamie pod ziemią, w swej „cogun“, i nie ma nic do czynienia. Zwiastuje, gdy deszcz chłapie i wiatr wieje, a wokół jest tak smutno i nieprzyjemnie. Na posterunku lub podczas walki „le cafard“ ucieka od niego przez o setki mil. Przy czułości się może podstępnie jakiego papudusia latem w etapach, lub wieczorem na stacji kolejowej, gdy wraca do swego pułku.

„Le cafard“ — to beznadziejność, niezadowolenie, smutek, desperacja. „Oby to wszystko raz minęło!“ i odnosi się to nie tylko do siebie samego, lecz do położenia w całości towarzyszy broni, kompanji, pułku, całego kraju. „Na cóż to wszystko? Do czego to prowadzi? I tak nie z tego nie będzie. Leżymy tu, lata mijają, a życie stało się dla nas wszystkich parodią. Kiedyś była kobieta, dziecko i kobieta. — Było kiedyś coś, co zwano się celem życia. — Fim! Czwarta kampanja zimowa.“

„Le cafard“ — to znużenie wojenne, uzasadnione subiektywnie i obiektywnie. Wyraz ten uczucie, wspólne wszystkim żołnierzom na froncie, ich nadzieja, ich tęsknota, ich pragnienie, by to raz wreszcie się skończyło. Inaczej zbrzydnie życie. Na froncie człowiek dłużej nie wytrzyma.

Armja — powiada Léon Balby —

jest to całość żołnierzy, jakiegoś narodu. Lecz żołnierze są ludźmi. Niezręcznością. Ludźmi z wszystkimi ich przyzwyczajeniami i słabościami — i wszystkimi ich słabościami. Armja — to zbiór istot ludzkich, kierujących się wszystkimi tymi porządami i motywami, jakimi ludzkość kierowała się po wszystkie czasy. Przejściowy zapal unosi ją w sferę wyższą, niż zwykła. Wówczas są bohaterami z nad Marne, z „wyścigów ku morzu“, z pod Verdun. Zresztą jednak popadają w zwykłą przeciętność. Po skończonej bitwie nawet bohaterzy zapomniają, że byli czemś nadludzkim. I oni chcą jeść i pić dobrze, parzącej na mięso żłogotowane, na racje wino, które się wydzielą, na szafarz, który niedostatecznie dba o aprowizację. Nie ma pojęcia o armji ten, co wymaga, by ona była wciąż wysłana ponad ludzkie słabości. Żołnierze francuscy idą na śmierć chętnie; bo, czynią, to gdy patrzą, z dumą, z mistyczną niemal egzaltacją, z bezgraniczną ofiarnością. Nie chcą jednak, by cierpieli w nieswoim czasie przez to, że muszą znosić głód, marznąć, moknąć na deszczu w źle przygotowanych rowach strzeleckich, lub też stać w ogniu granatów na pozycjach, które można było lepiej wybrać.

Nie wiem, ile prawdy tkwi poza pogłoskami, które w ostatnich czasach szarżyć się zaczęły po Paryżu, twierzącymi, że „le cafard“ zaczął znowu, które pułki na froncie. Mojem zdaniem nie oznacza to nic poważnego. Czy welno wymagać dziś — po 36 miesią-

cach — tego samego płażącego entuzjazmu i ślepej ofiarności, co w pierwszych podlaskich i tragicznych dniach? Byłoby to, mojem zdaniem, żądaniem nadludzkiem. Wszystko wyczerpuje się. Ludzie wyczerpują się więcej, niż wszystko inne. A najwięcej wyczerpują się moi Francuzi, gdyż ladywidzialność jest w nich tak bardzo rozwinięta, poczucie własności osobistej tak silne, że na drzewie powieszonoby przełożonego, co ośmielałoby się przed swym oddziałem mówić o „materjalu ludzkim“ w wojnie. Przełożony dowodzi swymi bliznami. Według tego ma żołnierz rozsądki mówić obecnie do swego generała „ty“. We Francji od setek lat nie mówiono inaczej nigdy, jak „mój generał“.

Z tych też powodów generał Petain zwraca się w swym rozkazie dziennym do żołnierzy, jako „do przyjaciół i ludzi“, z wszelką serdecznością, prostotą — pewien, że zostanie zrozumiany. Chodzi mu o to, by na pregu czwartego roku wojny przypomnieć, dla czego czwarty ten jej rok jest konieczny.

Podawszy treść pisma generała Petaina, w którym naturalnie sporo jest zarzutów pod adresem Niemców, korespondent kończy następująco: Petain rozpoczął swą ofensywę. Zwraca się ona przeciw znużeniu wojennemu, przeciw tym, co znajdują, iż dalsza wojna jest „warjactwem“, przeciw „zakapturzonemu Niemcom“ (!) we Francji.

le Rusinem przecież odebrał to ziemie — bo nie Rusinów tam zastał. Porównajmy, jaki miał miejsce w r. 1282 dotychczasowy lud Jędrzyców nieznanego bliżej plemienia. Można się spierać, czy Jędrzycowicze stanowili jakiś odłam plemienia litewskiego, jak twierdzą jedni; czy też należeli do plemienia, których rzadki pozostały jeszcze na północnych kresach stałego lądu Europy i zli, na co wskazują czarne grube i ciemne włosy, spotykane u Podlasian, niby ślady atawizmu dalekich przodków; dość, że nie byli to Rusini. Zdobytym na Jędrzycowiczów kraju na miejscu wypędzonej ludności osiedliły się rycerstwo polskie, które się rozmnożyło i potworzyło najliczniejszą Polacka zaścianki szlacheckie, która przetrwała do dnia dzisiejszego. Nie może też ulegać najmniejszej wątpliwości, że osadnictwo ruskie na Podlasiu było późniejszym od polskiego.

O osadnictwie polskie było tu mało, przeważało z wolnych obywateli złożone, o tyle osadnictwo ruskie składało się z poddanych, których ofiarą pascowia w obszarach swych obrach osadzili. Nieraz się zdarzało i ten i ów pan możny tu chronił rycerzy poddanych kresowych przed niebezpieczeństwem jasyru tatarskiego na stałe ich osadził, z samodzielnymi zaś, pierwotnymi osiedliskami samymi, z jakich wyrastały późniejsze miasteczka, lub zaścianki szlacheckie, Rusini wylęgłymiwać się nie mogli. Nawet wspomnienia niema, żeby była tu kiedyś cerkiewka miała z czasów dawniejszych, poprzedzających podawanie kościołów katolickich. A i te cerkwie, jakie powstały tu w końcu XVI, XVII są przeważnie stawiane przez panów polskich dla ich poddanych ruskich, osadzonych na ziemach panów, a jak kościoły katolickie, głębi Rosji nie oddają charakteru polskiego tego kraju, a osadnictwo niemieckie wśród ziem ruskich nie może być dostatecznym do uznawania dawnych części Rusi na kraj niemiecki i osadnictwo ruskie na Podlasiu nie może twierzyć podobnego prawa.

Nie stanowi też realnej podstawy analogie filologicznej, dorozumując się, końcówkach nazwisk pierwotnego pochodzenia rodziny. Zwracaliśmy uwagę niejednokrotnie na to, że w małżeństwach mieszanych, po ojcach pozostała nazwiska — matki zaś dają najczęściej potęmski język, wiarę i byt. Przez wieki pokoleń, jeżeli jakiś z innej narodowości, wynaradziła się cała rodzina i nazwisko jej pierwotne pozostaje jedynie, jako wspomnienie. Nosi Rurkowie i Adamowicze, rzadziej się w ciągu wieków i wielu pokoleń z matkami polskimi tak mało odsetek kraj polski, że ani oni, sami siebie, ani kt inny nie może ich uważać za „naszych“, niż za radowitych Polaków.

To, co się odnosi do rodów książęcych, powtarza się wszędzie we wszystkich warstwach społecznych a więc i wśród ludu podlaskiego. Wśród rodzin, których nazwiska mają brzmienie ruskie, czy końcówki ruskie spotykamy szereg Polaków, końcówki białoruskie nazwisk jak zdobych największe imiona polskie; współczesny nam profesor krakowski Trzeciak o ruskim brzmieniu nazwiska uważa się za Polaka, gdy rodzina Trzeciaków zasłużona rządowi rosyjskiemu, przyjęła kulturę rosyjską.

Podlasie wśród najbardziej rzymskokatolickich zachcianek nie nabrało nigdy cech ruskiej krainy, a liczba prawosławnych wschodnich powiatów tej gubernii nie przekroczyła nieznacznie tylko odsetka. Ani prześladowanie katolików, ani przywileje prawosławnych, nie zdołały dać przewagi liczbowej żywiołowi ruskiemu, a zmuszeni siłą do przyjęcia prawosławia i zaliczeni przez rząd rosyjski do narodowości ruskiej, wyrzekli się tego w pierwszej chwili ogłoszenia tolerancji religijnej. W najbardziej obfitujących w żywioł ruski powiatach, Włodawskim i Bielskim, pozostało przy prawosławiu 38 proc., — 25 proc. i procent ten stale się zmniejsza. W sąsiednich z nimi powiatach Radzyńskim i Konstantynowskim było: w Konstantynowskim 7,6 proc., w Radz. 3 proc., w Siedlce 1, 3 proc., w pozostałych powiatach gubernii. Siedlce procent prawosławnych nie dochodził 1 proc. a i w tej liczbie należeli się urzędnicy i funkcjonariusze rosyjscy. Należeli tu z głębi Rosji i powiększający szereg liczby prawosławnych.

Przed samą wojną liczba niemieckich Rusinów coraz bardziej malała a ci w trakcie wojny niemal wszyscy wyemigrowali na wschód razem z wojskiem rosyjskim. Z ogólniej liczby 72 585 Rosjan i Rusinów, pozostało obecnie 4 038 prawosławnych i 11 168 katolików, co przy 250 000 ludności katolickiej stanowi 6 proc.

Albo nawet gdyby nie ta masowa emigracja to jeszcze i wtedy nie można by tych powiatów uważać za ruskie, gdzie element ruski w stosunku do polskiego był 4 krotnie mniejszy od tego ostatniego. Uzaszczenia przeto Ukraińców do Podlasia nie mają podstawy, ani historycznej, ani faktycznej.

Desygnując się ruskiego pochodzenia mieszczków czy to z brzmienia ich nazwisk, czy to z powodów wyznania religijnego któregoś z przodków, jest to powtarzanie praktyk jakie uprawiał rząd rosyjski na Podlasiu przed 50 cili laty; praktyk, która stała się w wieki dziełarzy rosyjskich a ludowi Podlaskiemu dala chłuba kartą dziełom męczeństwa, przypominając męczeństwo pierwszych Chrześcijan. Zwróćmy uwagę w wierze, jak i wytrwanie na stanowisku, trzymanie się ziemi ojców pomimo nęcejących

obietnic, wskazują same przez się komu ta ziemia jest droższą i kto ją uważa za prawowitą swoją ojczyznę.

Podlasie przetrwało terroryzm rosyjski i nie ugięło się przed nim, można też z całą ufnością w niespożyteści elementu polskiego na Podlasiu spoglądać na fałszywe insynuacje i zakusy narzucenia mu innego charakteru. Przetrwa i to jak przetrwał tamte, do ciemnowej korony z przed kilku lat dziesiątków wplecie jasno liść leśny zwycięstwa.

H. Wierciński.

Odnawianie cennych obrazów w kaplicy świętej Trójcy na Zamku Lubelskim.

Znany artysta malarz p. Makarewicz z Krakowa, pracuje obecnie w kaplicy św. Trójcy na Zamku Lubelskim przy współudziale p. Matejki rodzinnego bratanka zmarłego genialnego twórcy tegoż nazwiska, nad wydobywaniem z pod tynku starożytnych malowideł w stylu grecko-słowiańskim i ich odnawianiem. Praca ta niesłychanie uciążliwa z powodu uszkodzeń zadanych malowidłom przed otynkowaniem i z powodu zniszczenia tynku od starości.

Malowidła te pochodzą z wieku XV, z czasów króla Władysława Jagiełły; wykonane zostały przez malarza Andrzejewicza, który choć był uczniem szkoły włoskiej znajdował się pod wpływem malarstwa bizantyjskiego i dlatego na skutek zlecenia króla Jagiełły ozdobił ukończony jego kościół malowidłami z historii świętej na modłę grecką. Jak świadczy źródła historyczne malowidła te były bardzo piękne, gdyż wykonane były na tle złota i fresko. Jednak czy to z powodu zepsutego smaku minionych pokoleń, którym się one nie podobaly, czy też z powodu obawy zamienienia kościoła przez Makarewicza na cerkiew zostały po wandalach zatynkowane i zabielone. Dziś jednak pod działalnością wytrwałych artystów znów pokazują się widzom w całej swej krasie.

W niniejszych paru słowach spróbujemy czytać przedstawić wygląd tych malowideł w prazbiterjum kościoła św. Trójcy w Lublinie, bo to obecnie się tylko odnawia.

Naprzód w ołtarzu Wielkim z obrazu św. Trójcy zdjęto wstępną sukienkę z błękitu i taktury pokrytej papierem połączonym; po zdjęciu jej przedstawia się piękny cały malowany obraz św. Trójcy o wyrazistych, dobrze zachowanych kolorach. Na sklepieniu prazbiterjum widnieje obecnie postać Chrystusa malowana al fresco z księgą, na której czytamy po starosłowiańsku te słowa „Jem jest światłość świata, kto za mną idzie nie chodzi w ciemno-

ściach“; przed tym obrazem jest namalowany Duch św. w otoczeniu 4 chwałogalistów w symbolach człowieka, lwa, węża i orla, po bokach zaś narysowani są aniołowie. Na ścianie prazbiterjum u góry po stronie ewangelji (z lewej strony patrząc na ołtarz) widnieje przesłannia scena modlitwy Chrystusa Pana w ogrócu na tle góry Oliwnej, dalej zaś widać obraz Ostatniej Wieczery; postacie pełne wyrazu, charakterystyczny też daje się spostrzedz znak chrześcijaństwa: ryba.

Postępując dalej widzimy scenę pojmania Chrystusa, lecz niestety obraz ten jest uszkodzony, jak też i następny dobrze nie dający się rozpoznać, obraz prawdopodobnie Zmartwychwstania Chrystusa. Bardzo dobrze jest zachowany obraz objawienia się Chrystusa Apostołom po Zmartwychwstaniu; charakterystyczną cechą tego obrazu jest to, że Chrystus widnieje pod dwoma jednakowymi postaciami tak zwany Duch św. Trójcy, trzymający przez Boga Ojca; jedna postać Chrystusa podaje Apostołom hostię, a druga podaje im kielich. Na tej stronie przedstawia się oczom widzów największy obraz, a mianowicie Wniebowstąpienie Pańskie; postacie są pełne wyrazu i powagi. Wreszcie następuje obraz pogoni litewskiej; właściwie jest to wizerunek samego króla Jagiełły siedzącego na koniu.

Po stronie zaś epistoli czyli po prawej u góry w prazbiterjum następujący obraz uderza oko widza: stoi Matka Boża i trzyma Dzieciątko Jezus na ręku, a z przeciwka anioł z krzyżem w ręku.

Dalej namalowana jest postać kobieca trzymająca w swych rękach dwuramienny krzyż grecki, prawdopodobnie jest to Matka Boska Bolesna; wreszcie widnieje postać osoby w koronie, oblicze której słabo się zachowało; prawdopodobnie jest to Jezus Nazareński z odznakami godności Króla Żydowskiego. U dołu na tej stronie widoczne są pod tynkiem, lecz nie oczyszczone są następujące przesłannia sceny: scena Urzyczenia niestety uszkodzona i obraz: zdjęcie z krzyża.

Na tejże stronie przesłannia odnowione są dwa małych rozmiarów obrazy: ubiczowanie i cierniem ukoronowanie Chrystusa wraz z osądzeniem go na śmierć przez Pilata.

Pełne urzyczenia wynosi się po zwiedzeniu obecnie odmalowywanej świątyni św. Trójcy w Lublinie.

Gdy całość będzie odnowiona, gdy przywrócone będą dwa zamurowane okna i po skasowaniu chydnej cerkwi, którą właściciele nazywali karczmą, to w kaplicy św. Trójcy będziemy mieli arcydzieła sztuki, pomnik kultury, przybytek chwały naszego narodu.

Ks. Stanisław Kamiński.

Z przeszłości Zamościa.

Kasztelan chełmski, Stanisław Zamojski, pozostawił synowi Janowi, wieś kółkową, a w niej — na ostrowie między rzeką Wieprzem i Kiełbasówką — starożytny zamek obronny. Zapobiegliwy spodziewając, szybko zorientował się, czemuż się może ów zameczek dla dóbr w tych stronach, a nie miał i do obrony Rzeczypospolitej. Prawie równocześnie wzięli kasztelan dwie wierzdy — jedną na Podolu, a drugą na Śląsku na miejscu dawnej Skokówki ziemii chełmskiej; drugą nazwał Zamościem.

Zamojski Jan Zamojski zwał osadników, porozumiał się we Lwowie z rezydującym tam podówczas budo-wniczym wójtą, Bernardem Merando-lem powierzenie mu racjonalnej budowy miasta. W r. 1578 znakomity inżynier podjął się zaprojektowania nowego miasta i twierdzy.

Pracę właściwą rozpoczęto od zniszczenia nowego zamku naprzeciw

dawnego nad rzeką Topornicą, rozciągając się w tam miejscu w staw z bagnałkami. Pod osłoną warowni wano- się też zaczęły pierwsze domy nowych osadników, przeważnie z zagranicy zwabionych. Kiedy zaś kolonści zajęli siedziby nowe, imając się według woli założyciela rzemiosł najrozmaitszych, zaraz otrzymali od protektora swego przywilej (1580 r.) na prawo magdeburskie. Dla tam szyszego wzrostu miasta, nazwanego Zamościem nad Wieprzem, zwał Jan Zamojski osiedlających się w nim na 25 lat od opłat i danin jakichkolwiek.

Udział Bernarda Meranda w budowie miasta ograniczył się, jak wno- sć można, przedawstwistkiem do wzięcia planu budynków fortacyjnych, a zwłaszcza do określenia zasadniczego planu Zamościa. W 1582 r. słyszymy o cieśli Szymonie Riemku, jako o budującym miasto, a o Franciszku Porowskim, jako wymierzającym grunta pod zabudowę miejskie. Fosy wokół zamku tudzież groble stawowe przeprowadził Pafko Grabarz. Z rozebranego zamku Skokówki wzniesiono zbrojownię i dom dla księży obok gotowego już wspaniałego kościoła.

Kiedy miasto przyoblekło się o- statecznie w mury liczących domów i budynków, rozpoczęła się życie ruchli- we, przedziwne Zamojski przywilej osadniczy dozwalał królowi Stefana- mowi Batorymu w 1585 roku. Król nie tylko uznał go w całej osnowie, ale na- wał od siebie nadał miastu prawo na trzy jarmarki.

Decydując jednak znaczenie mia- ła przyznanie Zamościowi prawa skle- du „lux imperii“, mocą którego kupcy przybywający dawną drogą handlową ze Lwowa i Wołynia na Zamość, nie mogli go omijać, lecz obowiązani za- stali do wystawiania towarów swych trzy dni w mieście samym. Przywilejem tym stał długie czasy dobrobyt nowej osady, załadunkowej się w coraz szy- bszym tempie. Na straż grodu stał w herbie św. Tomasz z dzidą — bronił go trzy bramy: lwowska, lubelska i szczebrzeszewska.

Żył też sobie Jan Zamojski, by Zamościem przedewszystkiem rze- miosła i handel uprawiali. W tym też kierunku szły wszystkie jego starania o dobro i powodzenie mieszkańców. Nie dziw więc, że mając to cele zwłaszcza na oku, oglądali się zaraz za ruchliwy-

wymi i przedsiębiorczymi synami wscho- dniej królowi armiejskiej. Już w r. 1585 przypuszcza ich też do obywatelstwa przywilejem osobnym.

Sarytal Ormianie, upewnili się przez dwu swych wysłanników, iż w upatrzonym przez nich Zamościu wy- gadała się osiedlić będą mogli, mając w zanadrzu „czarne na białem“, odra- zu spadli karawaną całą, lokując się w najkorzystniejszej części miasta.

Zbiegli się Ormianie z dalekiej Persji, Kazadecji, Iranu, Karmadecji i z całej Armenji i wot ich tytu było, iż własny magistrat ustanowić mogli. Za- łażni kupceckimi wnet się nawet wy- bić zdołali, stając się kregosia — nieja- ko handlowo przemysłowego życia gro- du Zamojskiego. Pierwszymi byli tu tak- długo, dopóki woi nie byli od konkurencji narodu „wybranego“. Kiedy zaś ten do- bił się głosu, powtórzyła się historia joim w jote taka sama, jak w Polsce całej. Powoli, ale statecznie powysła- różnych Wersesowiczów, Badrosowiczów i t. p. zajmować zaczęli niewierni Abra- hamowicze, Iranicy, Mandie.

(D. e. a.)

B. Janusz.